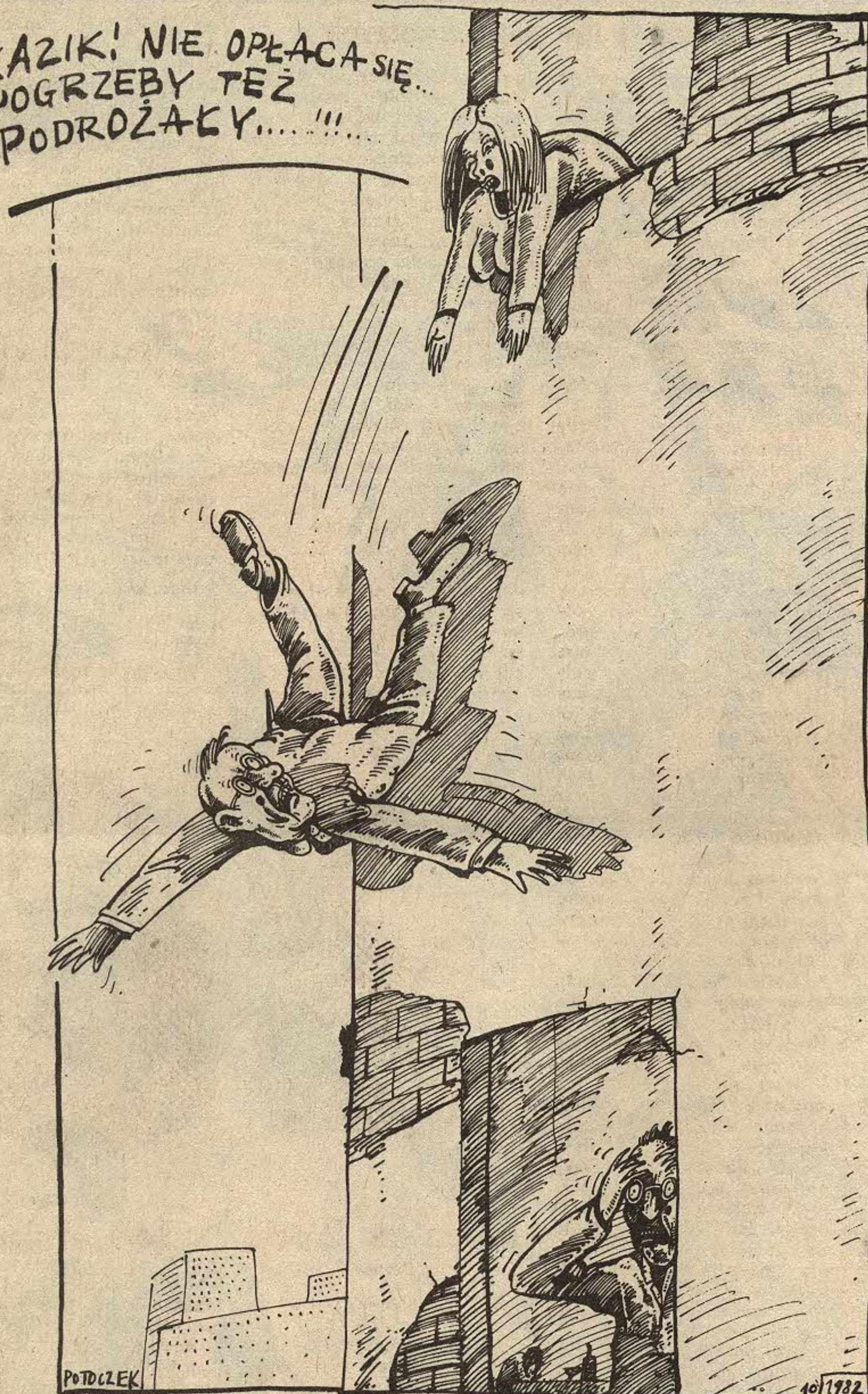
ROK XXVI NR 19/618 1982 R. CENA 15 ZŁ

karuzela





● Tyle inicjatyw — i taki brak ludzi do ich realizacji!

● Historii nie okłamiesz, nawet gdybyś jej prawił same dusery.

ZBIGNIEW WAYDYK

Ziewająca reklamacja

Po dwóch godzinach użytkowania zepsuła się lodówka, więc pan L. Pierzyński z Bełchatowa postanowił reklamować w miejscowym sklepie GS. Sklep ziewnął i **kazał** zgłosić uszkodzenie w zakładzie naprawczym w Piotrkowie. Zakład ziewnął i **kazał** czekać na przyjazd fachowców. Po pięciu tygodniach ziewania zjechali do Bełchatowa fachowcy, stwierdzili że istotnie lodówka jest zepsuta i ziewając **kazali** czekać. Po dalszych ośmiu tygodniach ziewania właścicielowi uszkodzonej lodówki **kazano** złożyć reklamację w sklepie GS. Sklep ziewnął i **kazał** czekać na odpowiedź. Wtedy ziewnął nerwowo pan Pierzyński, dopytując się jak długo potrwa to czekanie-ziewanie. Sześć miesięcy — ziewnął sklep, co pana Pierzyńskiego skłoniło do głośnej refleksji, że lodówka straci gwarancję.

— Ano właśnie! — rozziewał się sklep.

Filozofia biurokraty

Odkąd z pejzażu wiejskiego poznikały zielone mundury — urzędnicy gminni dziwnie nam zhardzieli. Listy napływające do redakcji świadczą, że teraz petentów się nie załatwia, tylko poucza. Przykładem niech będzie cytat z pisma Nr 7011-2/3/82 z dnia 19.10.82 naczelnika gminy w Żurawicy do wojewody w Przemyślu (kopia pisma rozdzielnikiem skierowana została także do petenta, stąd znana jej treść):

„...Termin miesiąca, na który strona się powołuje w przedmiocie udzielenia odpowiedzi dotyczy skarg i wniosków, a nie podań, jak to mylnie skarżący się interpretuje..."

Tyle cytat naczelnika, a my, dla porządku, przypomnijmy co głosi Kodeks Postępowania Administracyjnego w Art. 35 § 3: „Załatwienie sprawy wymagającej postępowania wyjaśniającego powinno nastąpić nie później niż w ciągu miesiąca, a sprawy szczególnie skomplikowane — nie później niż w ciągu dwóch miesięcy od dnia wszczęcia postępowania, zaś w postępowaniu odwoław-

czym w ciągu miesiąca od dnia otrzymania odwołania". Tymczasem urząd pana naczelnika w przedmiocie wydania decyzji na zakup ziemi z PFZ zwlekał przez 4 miesiące, zaś z ustosunkowaniem się do odwołania 6 długich miesięcy, o czym poinformował nas mgr inż. Tadeusz Zając. Kto tu więc coś mylnie interpretuje? Nasz ekspert twierdzi, iż rzecz się sprowadza do swoistej filozofii przeciętnego biurokraty:

– Nie załatwiać, tylko interpretować... interpretować ... interpretować...

Reforma wypaczona

W ramach reformy „łebskie" przedsiębiorstwa znalazły najprostsze rozwiązanie aby spełnić jedno z trzech „S" – czyli samofinansowanie. W czołówce tych „łebskich" bryluje łódzka Spółdzielnia Pracy „Guma", która opony samochodowe bieżnikuje wyłącznie w terminie ekspresowym, wyłudzając ekspresowo z kieszeni klienta 50-procentową dobitkę do zwykłej ceny. Na całość poszła także „Foto-Optyka" przy ul. Spornej w Łodzi: wymiana szkieł przeciwsłonecznych kosztuje tutaj 204 złote, podczas gdy za 96 złotych można w tymże sklepie kupić nowe okulary. Kalkulacja jest prosta:

– Nowe okulary są w starej cenie, wymiana szkieł w starych – w nowej.

Niebezpieczny bezpiecznik

Oblepiliśmy cały kraj, i słusznie, plakatami: „Nie naprawiaj bezpieczników drutem, gdyż grozi to pożarem". Co zrobić by uniknąć pożaru? Nie drutować, tylko wkręcić nowy bezpiecznik. Gdzie można kupić bezpiecznik? Bezpiecznika ani nie kupisz, bo nie ma, ani nie ukradniesz, bo po co?

– Są zawsze odrutowane! – oświadcza autorytatywnie nasz ekspert, który z niejednej cudzej tablicy usiłował wykręcać bezpieczniki.

Na miarę nie nogi, a potrzeb

I wreszcie mamy to czego chcieliśmy. Buty na talony. Nie potrzebujesz już stać dzień i noc przed sklepem, by kupić na zimę buciki dla ciebie, żony i potomnych. Pan minister Łakomiec zaserwował każdej Polce i każdemu Polakowi, bez względu na wiek, kartonik, który upoważnia do nabycia jednej pary obuwia tzw. całorocznego. Czy ono cały rok wytrzyma to już inne zagadnienie, fakt, że nadal może być wesoło, ale już nie boso.

Talon jak talon, każdy jednakowy, ale w odróżnieniu od niego obuwie powinno być bardziej różnorodne w numeracji, wzorach i konstrukcji. Ta ostatnia ma olbrzymie znaczenie, bowiem od tego jak but jest zbudowany, czy dopasowany czy uwiera, zależy nasze samopoczucie, czyli po prostu zdrowie. Jeśli kupisz garnitur o numer za mały czy o numer za duży, czy krawiec szyjąc go sknoci robotę, to najwyżej wyglądasz w nim jak idiota lub ubogi krewny z prowincji. Jeśli jednak z konieczności kupisz buty o numer za małe lub uwierające stopę, to będziesz człowiekiem cierpiącym, bez humoru i chęci do pracy. I już nam się wyłania poważny problem społeczny. „But, or or not to but" – jak mówi polski Hamlet!

Ostatnio utarł się zwyczaj, że w sklepach z obuwiem dostarczają nam nie tylko buty, ale również diagnozy medyczne. Produkcja butów odbywa się w fabryce, zaś stawianie diagnozy zupełnie otwarcie w obecności kupującego: – Niech pan bierze tę „siódemkę", „ósemek" na pana nogę w najbliższych tygodniach nie dostaniemy. Jeśli ma pan psa, to do pańskiej wiadomości – psi mocz znakomicie rozmiękcza skórę, a zresztą od przyciasnego buta nikt jeszcze nie umarł!

Tak poinstruowany i pocieszony przez ekspedientkę, bierzesz ową „siódemkę", lepsza ona niż nic!

I znów sięgnę do medycyny optymistycznej prof. dr Loebla sprzed lat pięćdziesięciu. Doceniał on but jako element dobrego samopoczucia i wypowiedział się jako zwolennik półbucików, ponieważ każde wtłaczanie nogi siłą do buta wysokiego przeszkadza w okolicy stawu i podbicia swobodnemu ruchowi i krążeniu krwi. „Uwolniłem już nie setki, ale tysiące cierpiących na nogi dla ich dobra od wysokich sznurowanych butów" – powiada. – „Nogom naszym, które są zeszpecone już przez gładkie podłogi i gładkie bruki, szkodzi bardziej jeszcze w wielu wypadkach sznurowanie dolnych ścięgien i części muskułów".

Tak więc zacny prof. Loebel przewidział trudności z zakupem skór i był gorącym zwolennikiem oszczędnych w surowcu półbucików. Nie potępiał też wysokiego obcasa. Nie tylko u pań. Twierdził, że są pacjenci płaskostopi, nie mogący nawet przy dobrze dobranej wkładce pozbyć się cierpień, dopóki noszą płaskie obcasy. Dopiero gdy pozwoli się im chodzić na trzy i półcentymetrowych koturnach – ból ustępuje. Zresztą uważa on, że bardzo trudno jest dobrać taki but, by czuć się w nim „jak na bosaka", ale każdy but, oczywiście jeśli nie jest za ciasny, można dopasować do nogi odpowiednią wkładką. Cenna to dla nas wiadomość, ale jakie z niej wynika praktyczne znaczenie? Chyba takie, że u nas, w kraju, zmniejsza się z roku na rok produkcja butów, a zwiększa liczba kształconych lekarzy. Skierujmy te nadwyżki do fabryk obuwia i do handlu obuwiem. Specjalizacja: ortopeda-butolog. W końcowym efekcie bardzo to się opłaci. Przede wszystkim w podniesieniu samopoczucia narodu, którego hasłem stanie się refren popularnej przedwojennej piosenki, a jakże proroczej: „Grunt się tylko nie przejmować i wygodne buty mieć!"

I tego Wam życzy

butolog-amator

ADAM BIEŃKOWSKI

O nich się mówi





IBIS-GRATKOWSKI

Kazimierz Górski

trener

„miał negatywny wpływ na piłkarzy".
Teraz rozumiemy dlaczego w 1973 r. zaledwie zremisowaliśmy w meczu z Anglią na Wembley, a w rok później musieliśmy się zadowolić zajęciem trzeciego miejsca w mistrzostwach świata. Powie ktoś – no a złoty medal na Olimpiadzie w Monachium? Owszem, ale to był początek kariery trenera i jego negatywny wpływ był jeszcze minimalny.

Lech Wałęsa

kapral

Po bitwie pod Lodi w 1796 r. zebrała się rada żołnierska i nadała mu tytuł honorowego kaprala. I tak już został „małym kapralem". Powiedział kiedyś: „Czterdzieści wieków na nas patrzy", a kiedy indziej: „Osły i uczeni do środka".

Ostatnio ujawniono list „małego kaprala" do polskiego generała pisany na zesłaniu.



Regulacja

W instytucji, kierowanej przez wypróbowanego dyrektora Franciszka Garba, przeprowadzono akcję regulacji płac.

Na okoliczność tę powołano Komisję d/s Regulacji, której przewodnictwo powierzono mgr Wilgorzowi, zwanemu żartobliwie „Docentem".

Komisja zebrała wnioski kierowników działów i przedstawiła projekt regulacji.

Dyrektor Garb obejrzał listę regulowanych z niechęcią, ponieważ musiał podjąć decyzję, czego nigdy nie lubił.

— Naprawdę musimy regulować?

— Niestety, panie dyrektorze — odpowiedziała sekretarka Kochańska. — Takie jest zarządzenie.

— No to regulujmy. Zaczynamy tradycyjnie ode mnie.

— Pan dyrektor nie może awansować finansowo. Zarządzenie nie pozostawia cienia wątpliwości.

— Regulacja polega więc na tym, abym ja znalazł się bliżej końca całej zarobkowej drabiny?

— Między innymi — odpowiedziała skromnie sekretarka, która wiedziała, że po regulacji otrzyma pensję dyrektorską. W takim razie, za te pieniądze wystarczy już mojego wysiłku w tej sprawie. Proszę dać do podpisu.

— Bez sprawdzenia?

— Należy wierzyć komisji. Komisja to podstawa obecnego funkcjonowania systemu naszej instytucji.

Dyrektor podpisał. Po dwóch godzinach zaczęły napływać protesty, interwencje i skargi.

— O co chodzi, kolego? — zapytał dyrektor Garb przewodniczącego Komisji d/s Regulacji. Mgr Wilgorz — sam były dyrektor sprzed 1980 roku — zwany, jak wiemy, „Docentem", jako że zajmuje się badaniami i szkoleniem w kwestii bezpieczeństwa — pospieszył z wyjaśnieniem naukowym:

— Ludzie się skarżą na was, dyrektorze, że dostali za mało.

— Koleżanki sprzątające też? A portierzy, którzy teraz lepiej zarabiają niż ekonomiści i inżynierowie? A maszynistki, które wystukują jednym palcem jedną stronę na dzień, w niezmiennym tempie dwa błędy na linijkę? Elektrycy, którzy boją się dotknąć instalacji, twierdząc że kopie? Dział Głównego Technika, który śle nam codzienne wyjaśnienia że się nic nie da zrobić? A pański referat szkolenia i badań, który nikogo nie szkoli i niczego nie bada?

— Wszyscy żądają więcej. Z tym, że każdy indywidualnie, co jest nowością godną zapamiętania.

— Wreszcie wiadomo o co chodzi i co należy robić. Fundusz na regulację jest nieprzekraczalny?

— Tak.

— To bardzo dobrze. Rozpatrzymy więc ponownie wszystkie podania. Stawiam jednak warunek — niech każdy skarżący się wskaże imiennie, komu należy odjąć, aby jemu dodać.

Mgr Wilgorz zwołał zgromadzenie ogólne pracowników.

— Witajcie — rzekł w starym stylu Wilgorz. — Otwieram, wiecie, naradę, rozumiecie w znanych nam, leżących na sercu sprawach. Każdy niech zgłosi komu zabrać podwyżkę, to dostanie z tej puli. Nikt dotąd nie zaprotestował, że jemu, rozumiecie, się nie należy, bo słabo pracuje. Dyrektor, którego witamy serdecznie, będzie od razu podejmował decyzję. Kto pierwszy chce zabrać głos?

Ludzie, jak to ludzie. Siedzieli cicho. Potem zaczęli mruczeć, ale kulturalnie. Później rozgadali się. Mniejsza o szczegóły, nie chcemy bowiem nikomu sprawiać przykrości.

Dyrektor Garb nie miał wyjścia. Sprawiedliwość zawsze musi zwyciężyć.

Stanęło na tym, że rewizja do regulacji została dokonana kosztem całych poborów „Docenta" Wilgorza. Tym samym, każdy skarżący się dostał podwyżkę 2 złote 31 groszy. Dobre i to, zwłaszcza, że prawdopodobnie nie będzie odtąd szkolenia i badań ogólnych.

— Ma pan szczęście, panie dyrektorze, że zarządzenie wykluczyło pana spośród regulowanych — szepnęła sekretarka Kochańska, gdy nareszcie zostali sami.

JULIUS

Przyczynek do demonologii prasowej czyli jak kończy się paktowanie z diabłem

Ze starych pamiętników znana jest galeria ukraińnych oryginałów (Wańkowicz przypomina panów, którym, jak mawiało przysłowie, wolno było wszystko na równi z kpem), nikt wszelako nie opisał dziwnego ziemianina z Proszowskiego, Adama Witolda Koszutskiego, który poświęcił majątek na... wydawanie pism humorystyczno-satyrycznych.

Przyszły redaktor i wydawca urodził się w 1873 r. w Krzykówce (pow. Bochnia) w rodzinie ziemiańskiej. Po ukończeniu szkół i zdobyciu w statecznym mieście Krakowie pierwszych doświadczeń na polu dziennikarstwa, około 1902 roku wyjechał do Warszawy, gdzie jako współpracownik m.in. cenionego „Kuriera Warszawskiego" musiał popaść w podejrzane towarzystwo libertynów i „socjalów", gdyż wziął się do redagowania wywrotowego „Kuriera Nowego". Wkrótce też redaktor dostał się do Cytadeli Warszawskiej, a następnie zesłano go do Archangielska. Ale na nic się przydały te dobrotliwe ostrzeżenia władz, gdyż już w trzy lata później rozpoczął w Warszawie wydawanie tygodnika satyrycznego „Kogut". Widać jednak na zesłaniu zdeprawowano nieboraka do imentu, gdyż pod płaszczykiem żartów i dowcipów wyśmiewał (Fi! — jak z francuska mawiały jego ciotki) klasy posiadające. Cóż dziwnego, że władze częstymi konfiskatami i grzywnami zarżnęły „Koguta"?

Kto inny może wróciłby na folwark w Proszowskiem i został hreczkosiejem, ale Koszutski musiał być już doszczętnie przeżarty miazmatami, gdyż nie tylko pozostał przy satyrze, ale w nowym swoim tygodniku („Diabeł Warszawski" 1913 r.) jeszcze zaostrzył ton.

Czcigodni obywatele z niesmakiem czytali zapewnienia, że „Diabeł" „walczyć będzie za prawdę i lud" nie zważając, jak zapewniał Koszutski, „na bon ton i wytworne maniery". Oczywiście, w tym samym jeszcze roku, przyszło mu drogo zapłacić (w sensie dosłownym) za programowe odstąpienie od „zasad przyzwoitości". Grzywny, konfiskaty i procesy sądowe widocznie miały niepoprawnego redaktora i publicystę nauczyć savoir vivre'u. O tyle przyniosły skutek, że czasopismo przestało się ukazywać w tym samym roku, o tyle jednak chybiły celu, że gdy w Lublinie powstał lewicowy rząd Moraczewskiego, nasz znajomy, w tym samym mieście, podjął wydawanie satyrycznego „Diabła" (co za szatański upór!) oświadczając, iż służy proletariatowi polskiemu i zamierza wydawać „organ socjalistyczny, bezpartyjny, który nie stoi na niczyim żołdzie". Dziwny ten ziemianin musiał też ciężko dokładać do swego „Diabła" (z którym rychło przeniósł się do stolicy zmieniając tytuł na „Diabeł Warszawski"). Mimo to, jak świadczył jeden ze współpracowników pisma, Wacław Lipiński, do ostatniego numeru wypłacał należności, co było wówczas zjawiskiem tak dalece niespotykanym, że graniczyło z iście czartowskim kuglarstwem.

Okrutnie przez Koszutskiego przebolana „wyprawa kijowska" i opuszczenie przez Piłsudskiego „czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość" — były dla wydawcy zbyt poważnymi ciosami, aby mógł kontynuować działalność. Tym bardziej że... znowu zaczęły się konfiskaty. Latem 1921 roku Adam Witold Koszutski, śmiertelnie chory (trwająca od uwięzienia w Cytadeli gruźlica) i zawiedziony — łamie pióro, aby wyrzec się na zawsze kontaktów z satyrą i niefortunnym, piekielnym patronem.

W ostatnich latach życia, materialnie wspierany przez zrzeszenia byłych więźniów politycznych i rewolucjonistów, rozczarowany do kierownictwa swojej partii, narażony na szykany, zgorzkniały i schorowany zamknął się w sobie dogorywając w niedostatku i zapomnieniu.

Zmarł w 1933 roku, stanowiąc jeszcze jeden przykład gorzkiej, iście diabelskiej komedii „publicysty zaangażowanego".

BOHDAN PIĄTKOWSKI



Zdradzili tajemnice horoskopu

Od państwa Leokadii i Stanisława Wojtaszków — Polaków zamieszkujących w trzecim pokoleniu brazylijski stan Parana, otrzymaliśmy do wykorzystania nie znany w Europie horoskop indiański, zwany także „Horoskopem Szlachetnych Kamieni". Ma on licznych zwolenników nie tylko w Brazylii, lecz w całej bez mała Ameryce Południowej, a tama głosi, że posługiwali się nim legendarni Inkowie i Aztekowie (wspomina się także o Majach), którym trudną sztukę szlifowania i oprawiania w złoto szlachetnych kamieni przekazał ponoć sam Bóg Słońce.

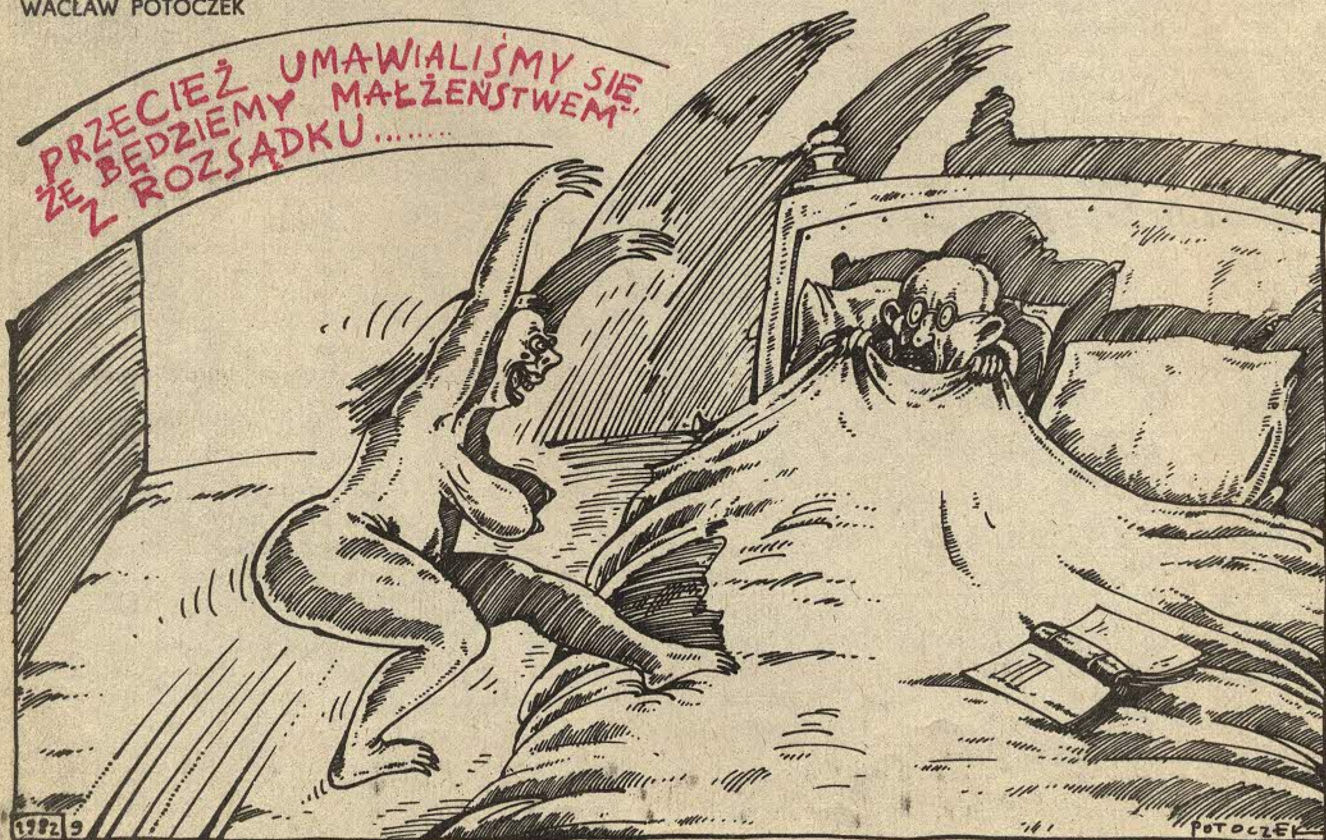
Sprawdziliśmy horoskop na redakcyjnych kolegach i znajomych — o dziwo! — pasuje jak ulał, jeśli nie w całości (któż chce się przyznawać do wad?), to przynajmniej w poważnej części. Przeto, nie zwlekając, już w następnym, świątecznym numerze uraczymy nim miłych Czytelników.

Państwo Wojtaszkowie poinformowali nas przy okazji, że Paranę zamieszkuje 600 tys. osób narodowości polskiej, z czego co najmniej 80 tysięcy używa w domu polskiego języka. Dziękujemy serdecznie za list i horoskop, a także za życzenia Noworoczne, które za naszym pośrednictwem z dalekiej Parany przekazują wszystkim przyjaciołom „Karuzeli".

Pana ANDRZEJA DREŻEWSKIEGO, autora humoreski zatytułowanej „Sierota", a zamieszczonej w numerze 17 „Karuzeli", prosimy o podanie adresu celem przesłania honorarium.



WACŁAW POTOCZEK





WACŁAW POTOCZEK

JERZY JASIŃSKI

MYŚLIWSKIE TROFEUM

Odwieczna knieja kołysana zimnym wiatrem jesieni stała pełna szelestów i tajemniczych odgłosów. Szumiały poplątane konary, głusząc ciche, skradające się kroki myśliwego. Z gotowym do strzału iskrownikiem przedzierał się przez chaszcze, pilnie nadsłuchując i rozglądając się wokoło. Dawało się zauważyć, że do kniei przywiódł go ściśle określony cel, gdyż obojętnie wyminął stado dzików buchtujących w dąbrowie i nie drgnął nawet, gdy spłoszony zając poderwał się spod jego stóp.

Wtem myśliwy znieruchomiał, podrzucił błyskawicznie broń do oka i wstrzymał w napięciu oddech. Pobliskie zarośla rozstąpiły się z trzaskiem przed mocarną piersią dużego zwierzęcia i oto między drzewami zamajaczyła płowa sylwetka jelenia.

– Zupełnie jak żywy – pomyślał z podziwem, wyczekując na stosowny moment do strzału. Uchwyciwszy go nacisnął spust i w chwilę potem, gdy jasna smuga wytrysnęła z lufy, szlachetny zwierz runął na ziemię.

– Wspaniale – pomyślał z zadowoleniem łowca, zbliżając się do leżącej ofiary – musiałem trafić w sam splot, bo zwarcie było natychmiastowe!

Nachylił się nad jeleniem i ujmując kordelas, rozciął wzdłuż tuszę zwierzęcia. Zachwyconym oczom ukazał się skomplikowany mechanizm z systemem zębatek, układów scalonych i splątanych kabli.

– Ileż tu tego, chyba trafiłem na eksportowy okaz! – zatarł z zadowoleniem dłonie. – Kilka oporników BR-13 już widzę, przewodów trójżyłowych będzie ze 30 metrów, a ileż tranzystorów! Wspaniały zapas na kilka miesięcy...

Przy pomocy cążek i śrubokręta patroszył nieruchome cielsko, zwijał kłęby kabla i pakował zdobyte mikroelementy do myśliwskiej torby.

– O proszę, transformatorek jak nowy – ucieszył się. – Żeby go tylko nasz łowczy nie zauważył, bo szuka podobnego od kilku sezonów myśliwskich.

Skończył pracę i z pełną trofeów torbą ruszył w stronę pobliskiej gajówki.

– No, teraz tylko kilka zastrzyków ekstraktu bigosu i spać! – pomyślał jeszcze z wyraźnym znużeniem.

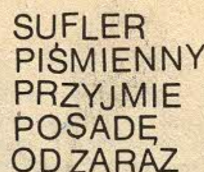
Niepotrzebne już szczątki jelenia pozostały w gęstwinie, jedynie wiatr tarmosił nylonowe włoski płowego futra...

- **Wszedł do historii nie bacząc na znaki zakazu.**
- **Aby wygrać wyścig z czasem nie wystarczy regulować zegarków.**

JERZY CAŁUSIŃSKI

HARCOWNICY '82

NARESZCIE ERA DR. SANDAUERA



TU I TERAZ, TĘDY I OWĘDY, TO I ŚMO

KLAPS

KLAPS

IBIS-GRATKOWSKI

LESZEK MARUTA

SŁYNNE NAZWISKO

Ostatnio słyszy się dużo o nowych metodach pracy w naszej administracji. Żeby z uśmiechem, bliżej petenta.

Poszedłem więc do biura i zgłosiłem się do urzędnika. Dotąd przywykłem do pytań na wstępie, w stylu: – Kto? Z czym? Wasze nazwisko?

Ale tym razem urzędnik uśmiechnął się mile i powiedział ciepło: – Uprzejmie proszę o podanie nazwiska...

Wstąpiła we mnie otucha. A więc jednak! No to pojedziemy na całego.

– Panie naczelniku, co do mojego nazwiska to wystarczy sięgnąć do Ksiąg Wedy, uznawanych przez Hindusów za święte, a pochodzących z roku 1500 przed naszą erą...

Urzędnik wybałuszył oczy.

– Tam właśnie występują w nich Maruty, według mitologii indyjskiej wedyjscy bogowie wiatru i burzy, bóstwa potężne i niszczycielskie, ale niekiedy łaskawe i dobroczynne, oczyszczające powietrze i przynoszące deszcz. Są to synowie Nieba i wierni towarzysze boga Indry, zwanego najstarszym z Marutów. Znajdzie pan to w każdej encyklopedii...

Urzędnik wykazywał najwyższe zainteresowanie.

– Czy jest to może krewny towarzysza Indry?

– Bynajmniej. Co do samego Indry, jest to bóg wiatru, burzy i wojny, wojownik gromiący wrogów, zdobywca tysiąca grodów, stróż wschodniej strony świata. Ten największy z Marutów wyobrażany jest z czterema rękami i oczami rozsianymi po całym ciele.

– Rozumiem... Czego więc pan od nas oczekuje?

– Powołując się na swe znane nazwisko, proszę o natychmiastowe przydzielenie mi mieszkania M-5.

– Won!! – ryknął urzędnik. – Precz mi z oczu!

A więc jednak, sami państwo widzicie, nic się w naszych urzędach nie zmieniło! □

MARIAN E. HIKEL

PROPOZYCJA

Z zadumy wyrwało mnie dyskretne pukanie i do pokoju weszła speszona dziewczyna o dużych, trochę przestraszonych oczach.

– A to pani – powiedziałem ciepło.

– Proszę zająć miejsce – wskazałem



krzesło. Przysiadła na jego brzeżku, składając dłonie jak dobrze wychowana uczennica. – Mam w zwyczaju – ciągnąłem – załatwiać każdą sprawę szybko i bez zbędnych ceregieli. Będę więc szczery i panią proszę o szczerość. A teraz ad rem: nie będę ukrywał, że nieraz obserwowałem panią przy pracy...

– Wiem – szepnęła cichutko. – Zauważyłam to – dodała głośniej, rumieniąc się jak jesienne jabłuszko.

– Taaak?! – zdziwiłem się, gdyż myślałem, że czynię to bardzo dyskretnie. – No więc rzeczywiście, interesowała mnie pani od dość dawna. Jest pani znakomitą maszynistką, choć nie to jest najważniejsze: inteligencja, pracowitość, kultura i, nie od rzeczy będzie wspomnieć, duża sympatia zespołu, to pani wielkie atuty. Myślę – zażartowałem – że mężczyźni prawią pani bardziej wyszukane komplementy... coś na temat urody, gustownych strojów...

– Nie! – zaprotestowała. – Nie ma żadnych mężczyzn!

– A więc do licznych zalet dopisujemy jeszcze – skromność. To też się bardzo liczy.

– Dziękuję... – wyszeptała opuszczając długie rzęsy.

– A teraz – wyprostowałem się za biurkiem – proszę odpowiedzieć szczerze na może zbyt obcesowo żadane pytanie: czy chciałaby pani zostać moją...

– Tak! – wtrąciła nieoczekiwanie. – Bardzo bym chciała!

Spojrzałem na nią zdziwiony. Nie spodziewałem się takiej reakcji.

– Czy pani mówi szczerze?

– Już dawno marzyłam – mówiła z przejęciem – kiedy pan mnie poprosi... przepraszam... zaproponuje mi to...

– Niech się pani dobrze zastanowi – przerwałem jej twardo. – Musi pani wiedzieć, że jestem podobno diablo despotyczny i, jak każdy stary kawaler, trochę zrzęda. Nie wszyscy mnie lubią... proszę się rozpytać...

– To nieprawda – patrzyła na mnie z nieukrywanym zachwytem – ja pana bardzo... bardzo lubię... – znowu zaczerwieniła się po białka oczu.

– No cóż, skoro pani przyjmuje moją propozycję...

– Tak! – odparła stanowczo.

– W takim razie – zerknąłem w kalendarz – zgłosi się pani do kadr i wakujący etat mojej sekretarki obejmie od pierwszego.

Po tym oświadczeniu dziewczyna jakby zbladła, zerwała się z miejsca i wybiegła trzaskając drzwiami.

– Co jej się stało, dyrektorze? – zajrzał do gabinetu naczelny inżynier. – O mało nie przewróciła mnie na korytarzu – dodał z oburzeniem.

– Nie wiem! – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, pełen zdumienia. □

Dionizje

Nietrunkowy władca Teb, król Penteus, zabronił święcenia uroczystości ku czci boga winnej latorośli, Dionizosa. Obchody te — między nami mówiąc — były orgiami i bachanaliami stanowiącymi ulubioną rozrywkę w ponurych i barbarzyńskich czasach, kiedy jeszcze nie znano telewizji, a mężczyźni nie poświęcali czasu na reperowanie samochodów. Co gorsze, król oświadczył publicznie, że Dionizos jest bogiem pijaków i nie zasługuje na szacunek. Świętokradztwo to i bluźnierstwo wywołało rozruchy.

W wyniku interwencji sił porządkowych doszło do starcia z pochodem dionizyjskim, a król Penteus został po prostu rozszarpany przez tłum.

Morał:

Z moczymordami lepiej nie dyskutować!

Eros i Psyche

Bardzo, bardzo dawno temu żyła sobie prześliczna królewna imieniem Psyche. Sama bogini Afrodyta pozazdrościła jej urody i wysłała swego boskiego kolegę, Erosa, aby w sercu dziewczyny obudził miłość do najpaskudniejszej szkarady jaką znajdzie.

Eros, choć bóg, był tylko słabym mężczyzną. Nieprzytomnie zakochał się w pięknej królewnie. Zapomniał o poleceniu i został kochankiem Psyche (patrz: znane rzeźby przedstawiające tę parkę in flagranti).

Kiedy Zeus posłyszał, jak wygląda sytuacja — obdarzył królewnę nieśmiertelnością i poślubił ją Erosowi.

Morał:

Grecy byli jednak okrutni: drobne wykroczenie służbowe i zaraz bezterminowe uwięzienie?!

Aisklepios (Eskulap)

Aisklepios wychowany był przez mądrego centaura Chejrona, który znał się na medycynie. Nic dziwnego, że u schyłku dni mistrz chciał przekazać młodzieńcowi sekrety swej wiedzy.

Aisklepios zbyt przyłożył się do nauki i doszedł do takiej biegłości w sztuce leczenia, że ludzie przestali umierać. Na dodatek młodzian posiadł umiejętność wskrzeszania zmarłych. Posypały się więc skargi ze strony spadkobierców, którym zaczęto odbierać świeżo otrzymane majątki.

Podobne zamieszanie rozwścieczyło Zeusa, który tak nieprzeciętnego lekarza poraził piorunem.

Morał:

Już w antyku najpewniejszy los był udziałem przeciętniaków i miernot.

Prometeusz

Tytan Prometeusz z nudów stworzył człowieka, nauczył go posługiwać się wykradzionym z Olimpu ogniem, pokazał jak uprawiać rzemiosło i sztuki piękne. Sprawa poszłaby w zapomnienie, ale tytan podstępnie manipulując Zeusem skłonił go, by ze zwierząt składanych mu w ofierze wybrał skórę i kości. Gdy bóg po niewczasie dostrzegł, że kapłani obżerają się mięsiwem pierwszej kategorii — szalał z wściekłości. Niestety, wyroki Olimpijczyków były nie cofane, gdyż stwarzało to pozory ich nieomylności.

Podobnie niegodziwy postępek Prometeusza spotkał się z należytą karą. Z rozkazu Zeusa podstępnego tytana przykuto do skał Kaukazu, gdzie odrastającą wątrobę codziennie wyrywa mu orzeł rozwścieczony monotonną dietą.

Morał:

Nawet kiedy bogowie załatwiają porachunki może chodzić po prostu o podział mięsa.

Temida

Pierwszą żoną Zeusa była Temida. Władca bogów znalazł z nią szczęście. Została mu przyjacielem, powiernicą i wyrozumiałym sędzią mężowskich uczynków.

Pan Olimpu bolał, że on, bawidamek i lowelas, nie może posługiwać się wobec dam nieodpartym argumentem: „Moja żona mnie nie rozumie, proszę pani!". Ale mądra Temida i na to znalazła sposób. Poradziła, aby się rozstali. Co więcej, z jej poduszczenia Zeus poślubił piękną, choć dosyć prymitywną, swarliwą i zazdrosną Herę.

Przewidująca bogini umiała w ten sposób zyskać resort sprawiedliwości i zachować życzliwość byłego męża, którego życie zmieniło się w piekło.

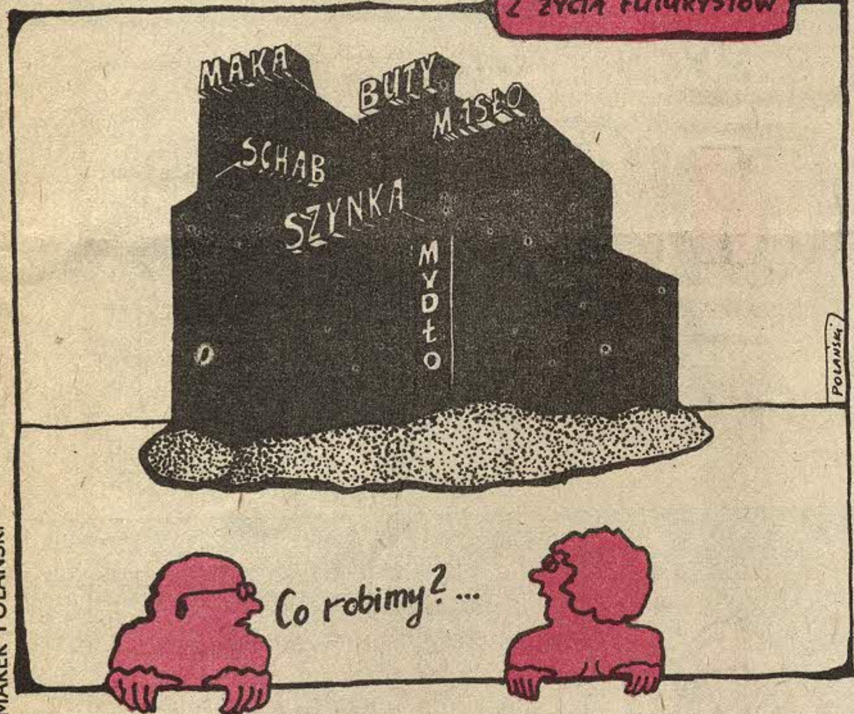
Morał:

Spryt kobiety pozwala jej nie tylko z chłopa zrobić durnia, ale jeszcze wystąpić w roli dobrodziejki i zagarnąć sowite alimenty. **B.P.**



MAREK POLAŃSKI





MAREK POLAŃSKI

AZJA MNIEJSZY

KTO PYTA, NIE BŁĄDZI

Nie lubię dużych miast. Szumu, zgiełku, zatłoczonych chodników, zagonionych ludzi. Toteż, gdy usłyszałem, że mam jechać do N., aby w Instytucie Badania Promieniowania Ziemi złożyć zamówienie, nie ucieszyłem się.

— Nie wiem, gdzie to jest — powiedziałem.

Dyrektor machnął ręką.

— W samym centrum. Każde dziecko pokaże. Wystarczy zapytać!

Koledzy zrobili listę zakupów. Żona kanapki.

Do centrum nie było daleko. Stało tam kilka wysokich domów. Zapytałem młodego człowieka, gdzie mogę znaleźć potrzebny mi instytut.

— Nie wiem — powiedział. — Jestem nietutejszy.

Zapytałem starszego pana.

— Instytut badania czego? — zapytał.

— Promieniowania Ziemi.

— Aha! Coś słyszałem. To będzie w tamtej stronie — pokazał ręką w nieokreślonym kierunku. — Trzeba pojechać tramwajem.

— Jakim tramwajem, coś pan! — wtrącił się nagle do rozmowy postawny mężczyzna w zielonej czapce. — To przecież niedaleko. O, tam, za rogiem trzeba skręcić i druga ulica na prawo.

— Ten pan nie pana pyta, tylko mnie — obruszył się starszy pan. — Pan nawet nie wie o co chodzi.

— Panie! — powiedział postawny w czapce. — Ja nie wiem? To pan nie wie! Mówię panu — zwrócił się do mnie — za rogiem skręcić i druga w prawo.

— Czego panowie szukacie? — zapytała kobieta w różowej pelerynie.

— My? — zdziwił się starszy pan. — To ten pan szuka instytutu badania promieni — pokazał na mnie.

— Aaa! — ucieszyła się kobieta. — Tam pracuje moja córka. To jest w tym czerwonym budynku, co go widać za kościołem. Na trzecim piętrze.

Koło nas zaczęli gromadzić się ludzie. Chciałem odejść, gdy postawny złapał mnie za rękaw.

— Nie słuchaj pan! Idź pan za róg i druga na prawo.

— Nie bałamuć pan człowieka — zawołała kobieta. — Idź pan do tego czerwonego budynku za kościołem, trzecie piętro. W tym instytucie pracuje moja córka.

— Jaki to ma być instytut? — zapytał wysoki blondyn trzymający wpół rudego kociaka.

— Badania Promieniowania Ziemi — powiedziałem.

— Takiego instytutu w ogóle nie ma! — wykrzyknął radośnie młodzian.

— Jak to, nie ma? — przestraszyłem się. — Zlikwidowali?

Starszy pan popukał się w czoło.

— Niech go pan nie słucha — powiedział. — Głupiec jakiś.

— Panie starszy! — krzyknął młodzian. — Uważaj pan, co pan mówisz.

— Spieprzaj pętaku! — ujął się za starszym panem postawny.

— Ja mam spieprzać? — młodzian puścił rudego kociaka.

Wokoło nas stało już ze trzydzieści osób. Powoli wycofałem się z tłumu. Odszedłem parę kroków. Przede mną był wysoki dom z wieloma kolorowymi szyldami. Wszedłem. W oszklonej budce stał mężczyzna z wąsami.

— Czy pan przypadkiem nie wie, gdzie może być Instytut Badania Promieniowania Ziemi?

— Wiem. Proszę do windy i na ósme piętro.

Już z góry spojrzałem na plac. Olbrzymi tłum jeszcze się kłócił. □

ZYGMUNT FIJAS

WCZASY TELEFONICZNE

Nacisnąłem taster rozrusznika, pobudzającego do działania moją golarkę, gdy znowu zadzwonił telefon.

— Czy to pan?

— Tak, to ja — rzekłem, już po raz któryś z rzędu.

— Niech pana jasna gęś kopnie — odezwał się damski głosik. — Skąd pan wziął ten list?

— Był w mojej skrzynce pocztowej — odpowiedziałem z głupia frant.

— Już trzy lata czekam na ten list i dopiero wczoraj weszłam w jego posiadanie.

— A co się stało?

— Mój mąż, jak wyjechał nad morze trzy lata temu, tak jeszcze do tej pory nie powrócił.

— Widzi pani. Tak działa poczta.

— To nie wina poczty, że zmieniłam miejsce zamieszkania. Nasza poczta działa bez zarzutu. To ten drab, mój mąż, tak zadziałał.

— Co się pani martwi? Znajdzie pani drugiego, to ją pocieszy.

Ale oto w słuchawce zatrzaskało i, zamiast damskiego głosiku, usłyszałem bas: — Z kim pan chce mówić, do cholery?

— Z panią, której zginął mąż.

— Mąż ci zginął, nygusie? Tu jest numer rzeźni miejskiej.

Odłożyłem słuchawkę. Ale po chwili telefon znowu zabrzęczał: — Czy recepcja? Chciałem zamówić pokój.

— Pokój to pan sobie może zamówić w Domu Pokoju na cmentarzu komunalnym. Proszę położyć słuchawkę na widełkach. Suwaki w centrali telefonicznej źle działają, bo są nie nasmarowane.

Jeszcze nie wysłuchałem wszystkich impertynencji, wypowiadanych w różnych językach. Jak: „Csokat mea válaga! Skirn babadżajsim! Baise mon cule, veille cadavre", co zapewne wszystko oznacza polskie: „Pocałuj psa w nos!" Albo: „Psa w ogon, stary trupie!", gdy tym razem — już nie po tatarsku, nie węgiersku i francusku, lecz po polsku — inny głos, ale przy wtórze kilku innych głosów, zapytał: — Czy wiesz, kochanie, że już wróciłem z Liptowa?

— Tak, wiem — odparłem. — Bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

— Ależ to mówię ja, Zenek, nie kobieta. Dlaczego mówisz: przyjechałaś, skoro mówię, że przyjechałem?

— Suwaki w centrali telefonicznej źle działają. Źle są nasmarowane. Źle słychać!

Ten sam głos zaczął tedy ryczeć:

— Czy chcesz się nauczyć nowej piosenki?

— Chcę.

— Mówisz: hę? Pewnie burza będzie. Mów głośniej!

— No chcę! — zaryczałem.

Zadowolony głos zaczął tedy śpiewać piosenkę czeską:

„Ja mam holku od odkolku,
co ma oczka jak kokoczka.
Je to holka zdielana, zdielana,
jakby pro mnie zdielana,
proto ji mam rad,
ca rara, proto ji mam rad".

— Proto ji mam rad? — spytałem dla podtrzymania rozmowy.

— Ach, to pan — odezwał się ten sam kobiecy głos, co na początku. — Czy mogę się z panem umówić w nieznane? Chciałam z panem obgadać sprawę tego listu.

— Jakiego znowu listu? — odezwał się bas. — Tu oglądacz bydła. Rzeźnia miejska. Pani się myli. Suwaki w centrali nie są konserwowane. Proszę się wyłączyć.

Wyłączyłem się tedy. I wykręciłem numer pogotowia telefonicznego. Zamiast pogotowia odezwał się głos kierownika sklepu żałobnego:

— Więc jaki grób pan życzy? Niech pan powie jeszcze raz, bo źle słyszę. Episkopalny, liniowy, czy we wspólnym dole?

— We wspólnym dole z zawiadowcą centrali telefonicznej — odrzekłem. — Jeśli chce mu pan zrobić żałobny manikiur lub ondulację, to proszę dysponować moim rachunkiem.

Wydarłem wtyczkę z gniazdka i postanowiłem korzystać z telefonu dopiero po okresie urlopowym. Kiedy pracownicy centrali odbędą już swe wczasy przy telefonach.

No tak, ale dlaczego ten sezon w naszych słuchawkach telefonicznych trwa przez cały rok?



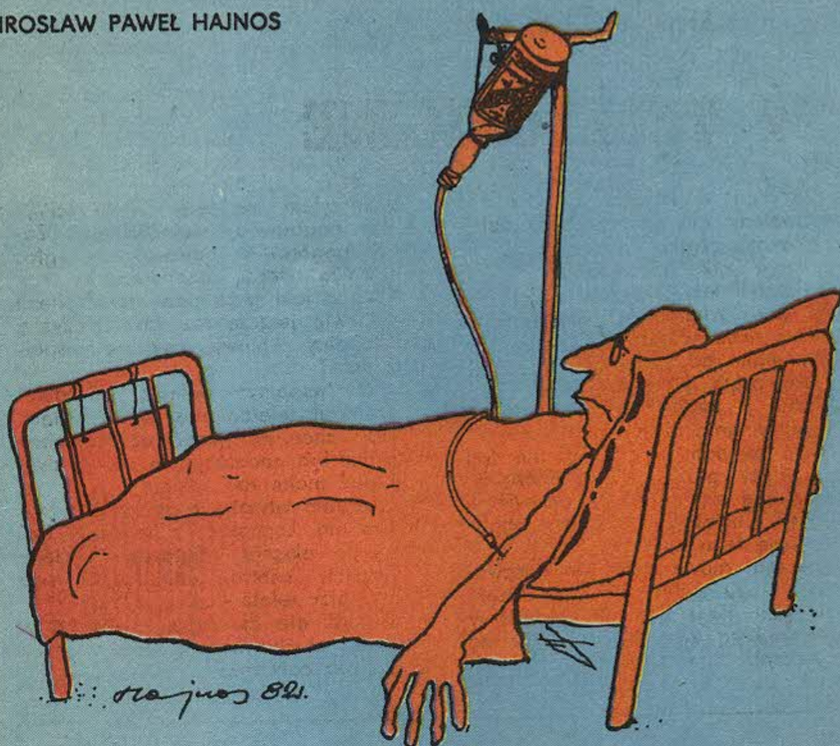
EDWARD TOMENKO

Tadeusz Chróścielewski

WAPNIACKIE ZAPRZECZENIE

Powiadają z młodzieńczą nieomylnością:
erozja pamięci
kredotwór w komorze serca
a ja przecież wiem doskonale
że czas dawny nie był ani lepszy
od dzisiejszego
ani gorszy
jednak jak w bajce miał
trzy przymioty:
Nie rzucał pod nogi kłody-zadyszki
Budził uczucia najnabożniej dionizyjskie
podczas saltatio obrzędowej wiatru
i spódniczek
Zachęcał do jak najczęstszych spotkań
z dziarskim Niespodziewanym
bynajmniej nie skłaniał do czekania
na statyczne Wiadome

MIROSŁAW PAWEŁ HAJNOS



BOHDAN PIĄTKOWSKI

ZAGRANIE

Dyrektor wprost uginał się pod brzemieniem zarzutów: nie wyszedł w piki, nie bił damą trefl, tylko niepotrzebnie tracił asa, nie wskazał w licytacji longiera w karach i tak dalej.

— Panowie — rzekł z powagą — dziś przypada mój dzień potrójnie „zerowy".

Odpowiedzią było głuche milczenie.
— Potrójnie, przepraszam, jaki? — dowiadywał się Mecenas.

Dyrektor z ubolewaniem pokiwał głową.

— Potrójnie „zerowy" — powtórzył. — Czyli moje cykle: fizyczny, wrażliwości i intelektualny znajdują się w momencie zwrotnym. To tłumaczy wszystko.

— Czy to ma coś wspólnego z astrologią? — starałem się zrozumieć.

— Ależ skąd! — wzruszył ramionami. — Jest to po prostu zgodne z biorytmami, o których teraz tyle się pisze. A kiedy mowa o astrologii, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Kopernik przez swoich współczesnych uważany był za znakomitego astrologa, o czym dziś wstydliwie zapominamy.

— Zaraz, zacznijmy ab ovo, czyli od początku — poprosił Mecenas. — Jakie pan u siebie widzi cykle i gdzie jest ta „fizyczność", wrażliwość, a zwłaszcza intelekt?

Dyrektor poprawił się w fotelu i z dużą pewnością siebie oznajmił:

— Każdy człowiek od momentu narodzin zaczyna trzy cykle: fizyczny, trwający 23 dni, emocjonalny, który ciągnie się przez dni 28 i intelektualny liczący 33 dni. Można też wykreślić trzy krzywe, które do połowy cyklu wznoszą się, a następnie opadają. O ile te trzy linie zbiegną się w punkcie zerowym, co nie bywa częściej niż raz do roku, następuje dzień krytyczny, kiedy, obok znacznie zmniejszonej sprawności fizycznej, zwiększa się pobudliwość emocjonalna i spadają możliwości umysłowe... — urwał, a widząc niedowierzanie malujące się na naszych twarzach rzucił na szalę decydujący argument: — Kierowcy japońskich autobusów otrzymują u dyspozytora karty ostrzegawcze, jeżeli zbliża się ich „zły dzień!". Jeżeli w ciągu ostatnich kilkunastu lat, odkąd Japończycy zaprzęgli do tego technikę komputerową, o połowę spadła ilość wypadków, to coś w tym chyba musi być.

— Trochę się pan zapędził w sensie terytorialnym — rzekł Mecenas.

— Nie powiem, żeby powoływanie się właśnie na ten kraj było dziś najwłaściwsze geopolitycznie — wyraziłem wątpliwość. — Ale z drugiej strony, propagandowo, japoński sukces poparty technologią komputerową brzmi nawet przekonywająco.

— Niejaki Rrobaczko, prezes spółdzielni im. „Czterdziestu Przodowników" przejął się tymi biorytmami i wszyscy patrzyli na niego jak na wariata. Ale niedługo to trwało — zauważył Mecenas. — Wkrótce przelał swą wiarę na pracowników. Oto niepomyślne wydarzenia jak wymówienia, czy nagany spotykały ich w dniach potrójnie „zerowych". Dopiero kontrola ujawniła, że na rachunek instytucji prezes zamówił w wyspecjalizowanej placówce wykresy biorytmów personelu.

— To wręcz oburzająca historia jeżeli w ogóle prawdziwa! — wybuchnął Literat. — Ale w tym co było tu powiedziane na temat Kopernika i astrologii może coś być. Jeżeli nasz uczony tak skutecznie przyłożył się do astronomii, że przewrócił do góry nogami cały układ ptolemejski, jeżeli zasłynął jako biegły lekarz i odkrył dla ekonomii „prawo słabszego pieniądza", to nie widzę powodu, dla którego nie mógłby twórczo zajmować się astrologią. Ostatecznie nie ma nauki samej przez się i tylko nasz do przedmiotu stosunek sprawia, czy rozsądna skądinąd wiedza nie zmieni się w zbiór guseł i zabobonów.

Porozmawialiśmy jeszcze o rozszerzeniu obszaru penetracji naukowej na obszary bioenergetyki, telepatii, a także o spirytyzmie dialektycznym, którą to naukę lansuje sąsiad Literata, mgr Siejko.

A kiedy wracałem do domu zagadnąłem Dyrektora:

— Jak to się stało, że pan, zawsze trzeźwo oceniający rzeczywistość, teraz dał się oczarować tej dziwacznej teorii o biorytmach? Nie dziwiłbym się Literatowi, który reprezentuje typ człowieka kierującego się bardziej intuicją i fantazją niż rozumem, nie dziwiłbym się Mecenasowi, który stara się robić wrażenie, jakby sam siebie przerósł o głowę w zakresie intelektu, ale pan?

Dyrektor pokiwał głową i przyznał smutno:

— Rzeczywiście tym razem wypadłem z roli. Ale jedynie pozornie. W istocie bowiem chodziło o to, by dać wam, kochani, temat rozmowy i żebyście odczepili się od komentowania moich niefortunnych zagrań. □

FRASZKI RADIOWE I TELEWIZYJNE

Jeszcze się taki nie urodził,
co by swą biografię spłodził
i odpowiednio nie osłodził.

Po twej jednej wokalizie
runęłaby wieża w Pizie.

TADEUSZ GIEGIER

na ofsajdzie



Andrzej Feliks Żmuda

Jaśnieje uśmiechem
Choć sukces sportowy wątpliwy,
Przyczyna tkwi w fakcie,
że Feliks to znaczy szczęśliwy.

LANCET

IBIS-GRATKOWSKI

export

Znowu na kolumnach zagranicznych czasopism humorystyczno-satyrycznych znaleźliśmy szereg tłumaczeń i przedruków z „Karuzeli".

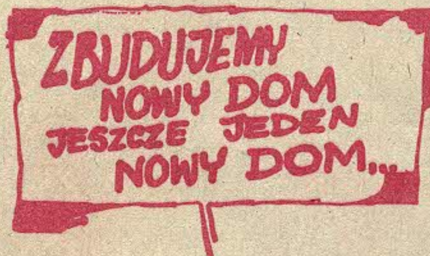
I tak LESZEK NIEKRASZ doczekał się dubletu, jak myśliwi nazywają celne strzały oddane z obu luf. Oto ubił aż dwóch bonzów, jednego na łamach bratysławskiego „Rohacza" (nr 41), a drugiego przy pomocy litewskiej „Szluoty" (nr 13). W obu przypadkach chodzi o jedną humoreskę zatytułowaną po polsku „Audiencja".

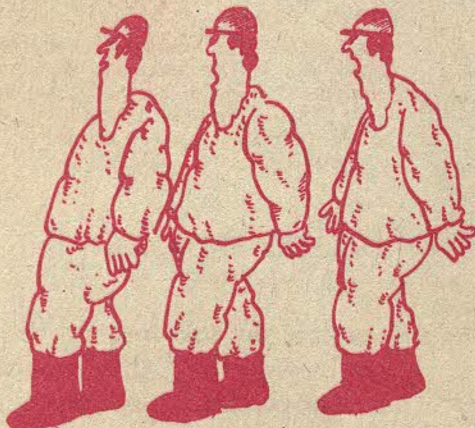
LESZEK MARUTA natomiast wraz ze swym „Krzesłem" zaproszony został na łamy „Rohacza" (nr 36).

Również twórczość naszych rysowników zasiliła łamy obcych periodyków.

HALINA SIBIŃSKA z satysfakcją mogła obejrzeć wybór swoich utworów w sofijskim „Styrszelu" nr 1911, karykatura ANDRZEJA ADAMOWICZA znalazła się w „Rohaczu" nr 36, a kreskę ANTONIEGO CHODOROWSKIEGO i ZBIGNIEWA WOŹNIAKA przypomniał jugosłowiańskim czytelnikom „Osten" nr 17.

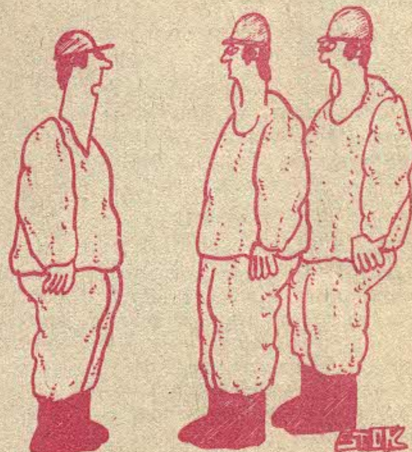
1





2





ANDRZEJ STOK



Ciocia Lucia się dziwi

Ciocia Lucia przyjechała całkiem niespodziewanie. To znaczy konkretnie przyleciała z Nowego Jorku, gdzie od piętnastu lat mieszka z dziećmi i wnukami. Ostatnio dręczyła ją tak silna nostalgia, że dzieci uznały, iż musi odwiedzić ojczysty kraj i dla uspokojenia nerwów poznać stan wojenny. Parę dni bawiła w Warszawie, a następnie przyjechała do nas. Dominującym uczuciem, jakie opanowało ciocię Lucię w kraju, było zdziwienie. Najwięcej kłopotu sprawiały jej relacje pieniężne, z którymi nie mogła dać sobie rady.

– Jak wy się możecie w tym wszystkim połapać? – zapytała na wstępie. – Za bilet kolejowy zapłaciłam 90 złotych, a za taksówkę na dworzec 150. Możecie mi to wytłumaczyć?

– Możemy – uspokoił ją dziadek. – Za kolej płaci się cenę państwową, a za taksówkę umowną.

– Nieprawda – obruszyła się ciocia Lucia. – Ja się wcale z tym szoferem nie umawiałam, on z jakiejś kartki przeczytał mi ile mam zapłacić i nie miał zamiaru pytać mnie o zdanie.

– Na razie zjedzmy kolację, a potem położysz się, bo z pewnością jesteś zmęczona – wkroczyła do akcji babcia.

Babcia oczywiście stanęła na wysokości zadania, wystała w kolejkach i zastawiła stół czym mogła. Ciocia Lucia bardzo się wzruszyła.

– To mi przypomina stół wielkanocny w sześćdziesiątym siódmym. Też był taki biały chrzan i pieczony schab.

Podczas kolacji ciocia Lucia coś sobie nagle przypomniała.

– Podobno macie bardzo dobrą telewizję – powiedziała.

– Kto ci powiedział? – zdziwił się dziadek.

– Pisała mi Fema, że ogląda wspaniałe przedstawienia teatralne – odparła ciocia.

– A tak – uspokoił się dziadek. – Ale to było bardzo dawno. Zresztą, jeśli chcesz... Jacek, włącz telewizor.

Akurat minister Łakomiec, przyparty do muru, obiecywał, że na święta dostaniemy po kilogramie cukru, kostce mydła i porcji proszku do prania.

– Bardzo o was dbają – uznała ciocia Lucia. – U nas żaden minister nawet by nie pomyślał, żeby dać coś ludziom na święta. Trzeba iść i wszystko kupić.

– Hm – powiedziała babcia, żeby się nie wdawać w interpretację.

– Ale może to ma i dobre strony – zastanowiła się ciocia Lucia. – Bo u nas sprzedawcy są grzeczniejsi. Chyba dlatego, że my za wszystko płacimy, a u was ekspedientki robią łaskę, bo dają. Czy wy dlatego zakładacie związki ochrony konsumentów? Widziałam z taksówki taki napis. Przed kim wy się musicie bronić?

– Jak by ci to wytłumaczyć zabrał głos dziadek. – Sprawa jest skomplikowana, ale mówiąc najkrócej, to przed przemysłem i handlem.

– To by znaczyło, że wszyscy przed wszystkimi? – zdziwiła się ciocia Lucia.

– No nie – bez przekonania powiedział dziadek. – Po prostu w sklepach jest nie to czego szukamy, w dodatku źle wykonane.

– I do tego jest potrzebny związek? Przecież wystarczy zbojkotować takie sklepy i kupować w innych – znalazła prostą radę Amerykanka.

– Smakują ci powidła? – zapytała babcia dla zmiany tematu.

– Macie tu pyszne rzeczy – pochwaliła ciocia Lucia.

– Nie mamy, tylko ja zrobiłam – sprostowała babcia.

– Sama zrobiłaś? – zdziwiła się ciocia Lucia. – Jesteś dzielna, mnie by się nie chciało.

– Mnie się też nie chce – przyznała się babcia.

– I herbatę doskonałą zaparzyłaś.

– Herbatę Helenka kupiła w krawatach – odpowiedziała babcia.

– Co proszę? – nie zrozumiała ciocia Lucia.

– No, w sklepie z krawatami sprzedawali herbatę – wyjaśniła bliżej babcia.

– Coś podobnego – zdziwiła się ciocia Lucia. – Herbatniczki też znakomite. Sama piekłaś?

– Herbatniki to ja dostałem w sklepie elektrycznym – pochwalił się Jacek.

– Pewnie kupowałeś czajnik elektryczny? U nas też czasem dokładają różne reklamówki – ciocia Lucia ucieszyła się, że wreszcie coś rozumie.

– Jakie tam reklamówki... – parsknął Jacek, ale dziadek mu przerwał:

– Jacek, znajdź papierosy, gdzieś mi się zapodziały.

– No, czas spać, idź Luciu do łazienki, a ja ci przygotuję tapczan – zadysponowała babcia.

Ciocia Lucia wyszła z łazienki wzruszona:

– Wciąż używasz mydła lawendowego. Ja o tym pamiętałam i chciałam ci przywieźć, ale wyobraź sobie, że nie mogłam dostać.

– No proszę – ucieszyła się babcia.

Od razu atmosfera zrobiła się jakby lżejsza.

TERESA WOJCIECHOWSKA

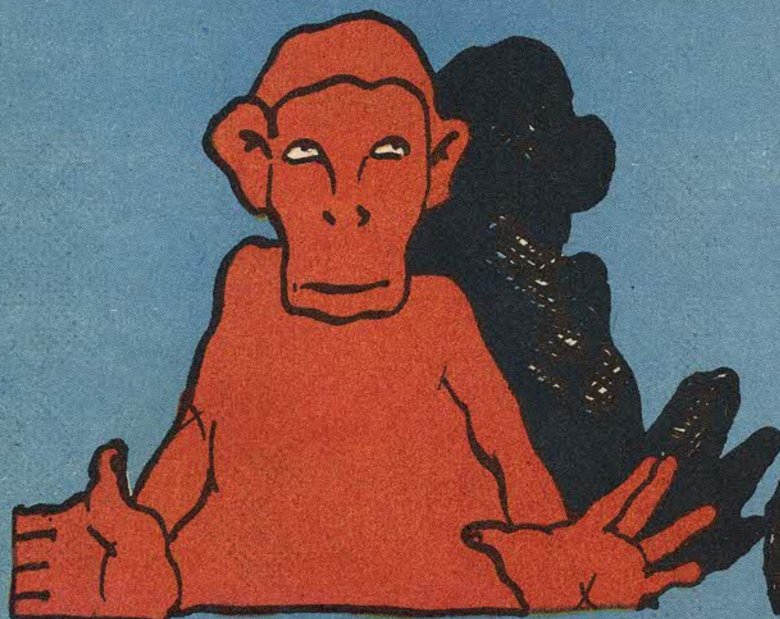


karuzela

Czasopismo satyryczne Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Adres redakcji: 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Telefony bezpośrednie: 314-32, 406-46. Centrala: 293-00. Redaguje zespół: WOJCIECH DRYGAS (redaktor naczelny), ADAM BIEŃKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), BOHDAN PIĄTKOWSKI (sekretarz redakcji), STANISŁAW GRATKOWSKI (kierownik działu graficznego), HALINA SIBIŃSKA (zastępca kierownika działu graficznego), STEFANIA MAŁEK (red. techniczna), KAROL BADZIAK. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne 92-332 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych tekstów. Numer zamknięto 18.XI.1982 r. Zam. 2416 F-12, Nr indeksu 36254. Opracowanie graficzne numeru HALINA SIBIŃSKA.

HALINA SIBIŃSKA

CZŁOWIEK JEST
JEDYNYM ZWIERZĘCIEM,
KTÓRE SIĘ ŚMIEJE
I PŁACZE



JEST BOWIEM,
JEDYNYM ZWIERZĘCIEM,
KTÓRE DOSTRZEGA
RÓŻNICĘ MIĘDZY
TYM CO JEST
A CO BYĆ WINNO



JEST TEŻ
JEDYNYM ZWIERZĘCIEM,
KTÓRE
SIĘ RUMIENI...



...BO TEŻ
MA KU TEMU
POWODY

